

Dariusz GRABOWSKI

ZAPACH BZU



DARIUSZ GRABOWSKI

ZAPACH BZU

Wydawnictwo Psychoskok

Konin 2016

Dariusz Grabowski

„Zapach bzu”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o. o.
2016

Copyright © by Dariusz Grabowski 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok

Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok

Zdjęcie okładki © Fotolia – kantver; Fotolia –

Tomasz Zajda; Fotolia - different_nata

Autor zrezygnował z korekty profesjonalnej
wydawnictwa

ISBN: 978-83-7900-512-3

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

Rozdział 1	5
Rozdział 2	18
Rozdział 3	33
Rozdział 4	42
Rozdział 5	48
Rozdział 6	63
Rozdział 7	77
Rozdział 8	88
Rozdział 9	100
Rozdział 10	108
Rozdział 11	121
Rozdział 12	131
Rozdział 13	142
Rozdział 14	157
Rozdział 15	170
Rozdział 16	186
Rozdział 17	199
Rozdział 18	212
Rozdział 19	228
Rozdział 20	242
Rozdział 21	254
Rozdział 22	264

Rozdział 23	282
Rozdział 24	291
Rozdział 25	289
Rozdział 26	304
Rozdział 27	315
Rozdział 28	330
Rozdział 29	334
Rozdział 30	345
Rozdział 31	356
Rozdział 32	267
Rozdział 33	376
Rozdział 34	389
Rozdział 35	400
Rozdział 36	404
Rozdział 37	420
Rozdział 38	429
Epilog.....	433

Rozdział 1

Dzień był pochmurny, wyraźnie zanosilo się na deszcz - normalne zjawisko o tej porze roku. Lato zbliżało się do końca. Dwa tygodnie temu Joanna zaczęła kolejny rok pracy w szkole podstawowej w Ibicy. Niespodzianek nie było: wychowawstwo w tej samej klasie, te same dzieci, koleżanki, koledzy; ten sam, nie remontowany od lat, budynek szkolny. Nie żałowała, że wakacje już się skończyły. Pobyt ojca w szpitalu, jego śmierć, potem pogrzeb; załatwianie wszelkich formalności, były traumatycznymi przeżyciami. Nie było ani przyjemności ani odpoczynku.

Nacisnęła mocniej pedały starego składaka. Podświadomie czuła, że nie musi się już śpieszyć, ale nawyk pozostał. Spóźnienie, lub zbyt długi pobyt w szkole, zawsze powodowały wrzaski ojca. Przyśpieszyła. – Czego się śpieszysz, wariatko? – pytała teraz w myślach sama siebie, ale nie potrafiła inaczej. Jeszcze dwa kilometry i będzie w domu.

Z tyłu narastał szum; stawał się coraz głośniejszy. Joanna wiedziała, że kolejna wielka ciężarówka za chwilę będzie ją wyprzedzać. Obecność dużej bazy przeładunkowej w Ibicy powodowała, że droga była dość ruchliwa i obecność wielkich tirów nie była niczym szczególnym.

Zbliżała się do wielkiej dziury w jezdni, tuż przy prawej stronie. Jak zwykle chciała ją szybko ominąć i zjechać na pobocze. W tym momencie poczuła silny podmuch powietrza, spowodowany pędzącym samochodem, przejeżdżającym obok Joanny w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów. Pchnął ją w dziurę w jezdni, powodując natychmiastowe zatrzymanie się przedniego koła. Wyleciała z roweru jak z procy, przeleciała w powietrzu kilka metrów i wpadła do przydrożnego rowu. Całe szczęście, że nie uderzyła w drzewo lub kamień. Nie straciła przytomności, ale nie bardzo kojarzyła, co się stało i dlaczego leży teraz w wysokiej trawie. Poruszyła się, sprawdzając, czy ją coś zabolilo. Nie poczuła ostrego bólu w żadnym miejscu ciała, ale cała była obolała. Usiadła i spojrzała na siebie. To, co zobaczyła spowodowało, że łzy napłynęły jej do oczu. Ręce, nogi brudne od błota i trawy, jeden but spadł z nogi i leżał w wodzie w rowie, sukienka w błotnych plamach dopełniała obrazu nieszczęścia. Teczka z zeszytami uczniów leżała na jezdni. Podniosła oczy. Ciężarówka stała kilkadziesiąt metrów dalej. Kierowca z całych sił biegł w kierunku miejsca wypadku.

Zobaczył drobną postać kobiety, siedzącą na brzegu rowu. Płakała, próbując otrzepać błoto z sukienki i założyć mokry but. Odetchnął z ulgą. - Żyje.

- Jak się pani czuje? Nic się pani nie stało?

- Jak to nic!? – wyrzuciła z siebie, płacząc. - Widzi pan, cała jestem w błocie! Jak można tak jeździć, jak wariat?

- Przepraszam panią, ale to pani nagle skierowała rower na środek jezdni.

- Bo chciałam ominąć dziurę w drodze, a pan, jadąc jak szalony, zepchnął mnie w nią.

- Proszę mi wybaczyć. Takim wielkim wozem trudno nagle skręcić. – W głosie kierowcy słychać było nutę zdziwienia i sarkazmu.

- To trzeba jeździć wolniej!

- Mogę pani pomóc wstać?

- Bez łaski. Sama sobie wstanę. Niech mi pan tylko poda rower.

- Z tego złomu już raczej nic nie będzie – stwierdził kierowca, podnosząc z jezdni poskręcane rurki. Na pierwszy rzut oka widać było, że składak dostał się pod tylne koła ciężarówki. Szczęśliwemu trafowi należy przypisać, że nie pociągnął za sobą Joanny.

- Czym ja teraz będę dojeżdżać do pracy? – w głosie dziewczyny brzmiały smutek, złość i bezradność.

- Tym, raczej będzie trudno. Pani pozwoli, że podwiozę panią do domu.

- Nie, dziękuję, pójdę pieszo – mruknęła naburmuszona. Wyciągnęła ręce po trzymane przez kierowcę resztki składaka.

- Prowadząc ten rower, będzie raczej trudno. Poza tym zbiera się na deszcz. – Podeszedł do samochodu, wrzucił na pakę złom, który jeszcze przed chwilą był rowerem i krzyknął w stronę kobiety, żeby wsiadała do kabiny.

Joanna pozbierała rzeczy z rowu i drogi i, ociągając się, podeszła do samochodu. Po chwili przekomarzania, siedziała w kabinie. Kierowca ruszył. Było mu głupio, że tak się stało, ale po prawdzie nie miał na to wpływu. Spojrzał na kobietę i uśmiechnął się nieśmiało.

- Pani pewnie jest nauczycielką? – bardziej stwierdził niż zapytał, chcąc przerwać niezręczną ciszę.

- Skąd pan wie? – zapytała obrażonym jeszcze tonem, nieco zaintrygowana trafnym spostrzeżeniem sprawcy jej nieszczęścia.

- Nauczycielki, szczególnie nauczycielki wiejskie, można od razu rozpoznać – odpowiedział wesoło – zgodnie z nawykiem kierowców patrząc przed siebie i pilnując drogi.

- Jak?

- Nie wyglądają jak wiejskie gospodynie – masywne, silne, zaniedbane, przyzwyczajone do ciężkiej pracy. Są zazwyczaj szczuplejsze, ubrane nieco inaczej. Tak jak pani – spojrzał na swoją pasażerkę taksującym wzrokiem - drobna, szczupła. Nie wyobrażam sobie pani karmiącej świnię lub dojącej krowy.

- Oh, pomyliłby się pan. Moje koleżanki są też – jak pan to nazwał – masywne. Ale rzeczywiście, jestem nauczycielką w pobliskim miasteczku. Właśnie wracałam z pracy i teraz, przez pana, tak wyglądam. – Znow zrobiła minę, jakby zaraz miała się rozpłakać.

Deszcz rozpadał się solidnie. Wycieraczki z trudem ścierały wodę z szyb.

- Proszę się tu zatrzymać. To już moja wioska. Tam, w tamtym domu mieszkam.

- Gdzie? Domu nie widzę, tylko jakieś krzaki.

- Nie „jakieś krzaki” tylko bez – oburzyła się. - Mój dom jest otoczony krzakami bzu. W maju i czerwcu zachwycająco kwitnie i odurzająco pachnie.

- Nic nie czuję – silił się na dowcip.

Spojrzała na niego wzrokiem pełnym nagany i drwiny.

- Po pierwsze, nie wiem, czy pan zauważył, ale tegoroczny maj dawno minął, a po drugie w pańskiej ciężarówce czuć tylko smród benzyny i... - nie dokończyła, chociaż chciała przygadać temu wstrętnemu sprawcy jej nieszczęścia, że śmierdzi potem.

Kierowca uśmiechnął się i zatrzymał samochód. Joanna musiała przyznać, że uśmiech miał zniewalający (skąd u wielkiego, śmierdzącego kierowcy taki piękny uśmiech?).

- Z całą pewnością nie uczy pani fizyki – popatrzyl na nią z błyskiem drwiny w oczach.

- Dlaczego tak pan sądzi?

- Bo wtedy wiedziałyby pani, że tir nie ma silnika benzynowego tylko na ropę. To ogromna różnica.

- Niech się pan tak nie mądrzy i lepiej nauczysz prawidłowo jeździć – odgryzła się.

Kierowca znów pokazał piękne zęby w uśmiechu. Nie miała czasu przyglądać mu się dłużej, a poza tym była na niego zła; wyskoczyła z kabiny i w strugach deszczu pobiegła w stronę domu, zasłaniając sobą przytuloną do piersi teczkę. Kierowca zatrąbił na pożegnanie i ruszył przed siebie. Joanna w połowie drogi zatrzymała się. Uświadomiła sobie, że jej rower, a właściwie to, co z niego zostało, odjechał na ciężarówce. Próbowała krzyczeć, ale wiedziała, że kierowca nie usłyszy. Wściekła, załamana, mokra od deszczu, w brudnej sukience weszła na ganek domku. Obejrzała się jeszcze raz za światłami znikającej ciężarówki. Szkoda jej było roweru. Może dało by się go naprawić? Ma kilku znajomych mechaników – swoich dawnych uczniów, którzy pewnie potrafiliby wyprostować te rurki i koła. A tak, nie ma szans. Przecież nowego, za swoją nauczycielską pensję nie kupi. Przynajmniej nie od razu.

W domu panował chłód. Zdjęła przemoczone rzeczy i owinęła się ulubionym wielkim szlafrokiem frotte. Stary

był, pozszywany, ale lubiła go, bo dawał jej poczucie bezpieczeństwa w domowych pieleszach i pełnej prywatności.

- Zrobi sobie obiad i posprawdza testy, które przywiozła ze szkoły. Sporo się tego nazbierało, ale miała wprawę, więc do wieczora skończy. Zresztą jest piątek, na sprawdzanie ma cały weekend.

Nigdy dotąd nie włączała radia. Odkąd sparaliżowany ojciec leżał w łóżku w pokoju na piętrze, cały czas musiała w domu panować cisza, żeby natychmiast usłyszała każde wołanie. Od lat przyzwyczajona była do tego i wyszkolona, jak w wojsku. Już po krzyku rozpoznawała, czego będzie chciał. Kiedy usłyszała wrzask: „Aśka!”, wiedziała, że będą pretensje, uwagi i żądania. „Joanno!” – oznaczało reprimendę, poważną rozmowę lub wyżalenie się na nią. „Asiu” lub „córko” – znaczyło, że ojciec jest przygnębiony i będzie płakał, a płacz skończy się znów wrzaskiem, że o niego nie dba, że czeka na jego śmierć.

Odkąd pamięta, ojciec zawsze był surowy. Nawet przed wypadkiem, kiedy był zdrowy, nigdy jej nie przytulił, nie pochwalił. Zawsze zasadniczy, poważny, nigdy się nie uśmiechał. Czasem tylko wykrzywił twarz, co miało świadczyć o zadowoleniu, lub dobrym humorze. Matka była jego przeciwieństwem (jak oni mogli się spotkać, polubić, pobrać?) - ciepła, wesoła, kochająca. Joanna często wspominała, jak matka śpiewała w kuchni i nie

przejmowała się uwagami ponurego męża, że do „Mazowsza” i tak jej nie zapiszą.

Włączyła radio na przekór sobie, swoim przyzwyczajeniom i obawom, że nie usłyszy wrzasku chorego ojca. Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć, że ojca już nie ma, że już nie będzie na nią krzyczał. Po chwili jednak je wyłączyła. Mimo wszystko przeszkadzał jej dźwięk, nawet jeżeli była to piękna muzyka. Woląла głos własnych myśli.

Wlewając zupę na talerz, pomyślała o dzisiejszym wypadku. Była zła na siebie, na kierowcę ciężarówki, a przede wszystkim na los, który znów ją dotknął i to w taki przykry sposób. Przecież ciężarówka mogła wyruszyć w drogę o minutę wcześniej lub później i nie spotkaliby się dokładnie przy pechowej dziurze. Niestety, i ciężarówka i rower znaleźli się w tym samym miejscu, dokładnie w tym samym czasie. Zawsze spokojnie omijała dziurę i nawet kiedy jechał jakiś samochód, nic się nie zdarzyło. Ten wariat kierowca też mógł jechać wolniej. Co prawda zachował się w porządku, przybiegł, zapytał, czy nic się nie stało, chciał pomóc, podwiózł. Dość przystojny, ale śmierdział potem, benzyną i papierosami. Nie lubiła cuchnących mężczyzn. Odrzucał ją zapach piwa, potu, papierosów czy alkoholu, jaki wokół siebie roztaczali. Poza tym był – jak się jej wydawało - taki wielki, zupełnie niepasujący do niej, drobnej niskiej kobietki. Ale w sumie

sympatyczny. Tylko czemu taki głupi i zabrał jej rower? Co ona teraz zrobi? Mimo wszystko nie mogła myśleć o nim źle. Przeciwnie, wzbudził jej sympatię. Miał takie wesołe iskierki w oczach... Ale odjechał i już go więcej w życiu nie spotka. Chyba, że znów będzie chciał ją przejechać swoją wielką ciężarówką.

Skończyła zmywanie po obiedzie i weszła do saloniku. Pomyślała, że musi go przemeblować. Kiedyś nawet nie śmiała myśleć o tym. Ojciec nie pozwoliłby niczego ruszyć, zmienić, dokupić. Miała wrażenie, że tak się zachowywał jej na złość. Chociaż przez kilka lat nie schodził na dół, a tylko leżał w swoim łóżku w sypialni na piętze, nie odważyła się nic zrobić przeciw niemu.

Tydzień temu udało się jej odsłonić kominek, przez lata zasłonięty kredensem. Musi teraz sprawdzić, czy da się rozpalić ogień. Kiedy mama żyła, czasem rozpalala kominek. Siadały wtedy obie, bliziotko, przytulone i mama opowiadała jej różne historie prawdziwe lub zmyślane. Bohaterki tych opowieści zawsze miały na imię „Joasia”. Imiona bohaterów mama pozwalała wymyślać córeczce. I mała Joanna wymyślała: Patorka, Musiłka, Inusia lub jakiegokolwiek, które przyszło jej do głowy. Nie zdarzyło się, aby wymyśliła prawdziwe imię prawdziwego chłopca. Wszystkie te bajki, opowiadania lub historyjki musiały kończyć się szczęśliwie. Taką miała umowę z mamą.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

